

cenie, chęć użycia i zajmowanie się sobą i otoczeniem.

— O, pan surowy sędzia, — uśmiechnęła się pani Wanda i przystanęła, ażeby odpocząć, — panie tutejsze są takie wesołe, pełne życia, radości, a pan nazywa to sztucznym ożywieniem.

— Pani to szczerze mówi? — zdziwił się. — Najszczerzej i naprawdę zazdroścę im. W stosunku do nich jestem niedołązną, chorą, niezdolną... I teraz one są tak rozbawione, tak oddają się zabawie całą duszą, a ja uciekam do pokoju.

— Obmawiasz się, Wandziu, niech pan jej nie wierzy, — zawołała Ryta, — ona w swym pokoju jest i wesoła i rozmowna.

— Może odpocznijmy chwilę, — wskazał na kanapkę otaczającą filar w kurytarzu, — mam plan pewien, — a gdy usiadły, mówił, patrząc na zegarek, — teraz zabawa w salonie w całym rozwoju... aż do nas dochodzą dźwięki mazura. Zaczekajmy tu kwadrans, a nawet krócej... i zejdziemy na chwilę na dół, napijemy się herbaty.

— O, nie! — powiedziała pani Wanda, — nie chcę się narażać na wymówki, zapraszania do tańca.

— Bez muzyki nikt nie tańczy, a muzyka za dziesięć minut ustaje.

— Ale dlaczego mamy wracać? — dopytywała się pani Wanda.

— Na filiżankę herbaty, — odpowiedział z uśmiechem zagadkowym.

To podnieciło ciekawość Ryty, która zaczęła namawiać panią Wandę i ta zgodziła się wreszcie.

Po pewnym czasie rzekł pan Borowiecki:

— Już czas... chodźmy.

Gdy wchodzili do salonu, muzyka grała galopkę, lecz nikt nie tańczył, chociaż większość pań była w salonie.

— Może teraz zechce pani przyrzec się tym paniom wesołym, pełnym życia i radości.

Na fotelach, karłach, kozetkach i kanapkach siedziały tancerki, wirujące przed chwilą. Prawie wszystkie wyczerpane, zmęczone, z podkreślonymi oczyma, z ruchami leniwymi. Widok ich budził współczucie. Zginęła wesołość, podniecenie, nieposkromiona żywość spojrzeń i ruchów.

Po gwałtownym wyladowaniu energii nastąpiła reakcja i siedziały smutne, osowiałe, jak zawczasie wracające płacиво, gdy nagle schwyty w kwietniu mróz i śnieg.

— Chodźmy na herbatę, — proponował towarzysz.

— Nie! Dziękuję... wolę iść do siebie, — szła pani Wanda do hali.

— Ryto! — zawołała pani Łacka, — gdzie ty się chowasz? szukam cię wszędzie.

— Idę, mam, — pożegnała ich oboje.

— Czy pani zazdrości im jeszcze?

— Zrobił mi pan przykrość... jakie one są biedne, — współczuła szczerze.

— Przykrość minie, a zostanie wyrozumiałość i współczucie... Niech mi pani nie ma za złe, że podniosłem kurtynę... to przecież interesujące.

— Jak dla kogo! — powiedziała obojętnie.

— Sądzę, że dla każdego. W tych murach zamknięty jest mały świat, krążący około osi swego zdrowia. Tu nigdy się nie mówi o sprawach społecznych, politycznych, tylko o zabawach, rozrywkach, co będzie dziś, co jutro, kto się w kim kocha, jak się ubierze, kto na co choruje i t. d.

— Dlaczegoż pan tu mieszka? — spytała i przystanęła.

— Interesuje mnie ten świat.

— Czy te zabawy? ploteczki? — ironizowała.

— Naturalnie i one, ale przede wszystkim to żywiołowe ukochanie uciekającego życia; to pożądanie wyssania z kwiatu całej słodczy i zapachu, bo jutro może być zapóźno... Tu panuje taka sztuczna, oranżeryjna atmosfera, w której wszystko szybko kwitnie i dojrzewa... ledwie znajomi, już bliscy...

— Tak, jak my, — zaśmiała się, idąc na drugie piętro.

— O, nie! My, normalni ludzie... Pani czuła się tu obcą, ktoś wspominał szczęśliwą przeszłość, to stanowiło miły kit znajomości, nic więcej, bo u pani zdrowa dusza i mózg, a nad chwilowym niedomaganiem pani zapanuje.

— Skąd pewność? — znów stanęła.

— Z dzisiejszego zachowania się pani.

— Jakiego?

— Ta dziecinna obawa pani o współludzi w programie, ażeby nie posądzono pani o bliższą znajomość z panem Jedlińskim... ten strach przed natarczywością tancerzy... to są chorobliwe wprowadzanie objawy, ale, jak pani się wzmocni, minie to bez śladu.

— To zaufanie pana w moje siły, robi mi przyjemność... idźmy dalej...

— Niech się pani oprze na mem ramieniu, lżej będzie pani.

— Dziękuję, sama pójdę.



— Ja postanowiłem sobie tańczyć z panią.

— Otóż tak, to lubię, — zaśmiał się, — liczyć na pewno, można tylko na własne siły.

Gdy dochodzili do drzwi, on rzekł przyjaznym głosem:

— Mam do pani prośbę.

— Jaką?

— Bardzo lubię szerokie widoki i czytać na balkonie, pod warunkiem, że nikt z góry nie patrzy na mnie. Pani pokój jest jedyny pod tym względem, a mój jest na pierwszym piętrze. Otóż, czy nie raczyłaby pani zamienić się ze mną na pokój?

— Objaw atmosfery oranżeryjnej, — zaśmiała się.

— Ależ nie, to prośba, i robi mi pani łaskę.

Uśmiechnęła się do niej ta myśl: zejść, kiedy zechce i łatwo dojdzie; będzie mogła wyjść na balkon, patrzeć w dół bez obawy i powiedziała z pewnym wahaniem:

— Ale jak to zrobić?

— Sam zarządzający przyjdzie do pani i zaproponuje.

— No, w takim razie... zgadzam się.

— Bardzo pani dziękuję, — podał jej rękę.

— To ja panu dziękuję, — uśmiechnęła się, —

pan ponosi ofiarę... i poco to udawanie ze mną? Pan pewno wie, że nie znoszę trzeciego piętra, a mówił pan o łasce z mej strony.

— Szczerze mówię: nie wiedziałem, tylko spostrzegłem, z jakim trudem pani wchodzi na swe piętro... no, i ta obawa przed przepełnieniem. Wierz mi pani, że bardzo rad jestem z tej zamiany.

— Dobrze... i dobranoc, — podała mu rękę, którą on uściśnął.

W tej chwili zjawiła się w kurytarzu pani Mniewska, mieszkająca na tem piętrze i zawołała:

— Dobranoc..., państwu!

— Dobranoc, — odpowiedział i dodał ciszej z uśmiechem: — od jutra jestem ogłoszony w zakładzie jako wielbiciel pani... niech się bawia... dobranoc...

IX.

Ustaliło się przekonanie wśród pań i panien, że pani Wanda, to niebezpieczna kokietka bez serca i sumienia, bo wprowadzie każda kobieta chce się podobać i to jest w porządku, ale we wszystkim trzeba mieć takt i miarę. Ona ma przecież swego męża, ponieważ jednak jest nieobecny, a ona chce się bawić, więc chociaż to nieetyczne, ale można zrozumieć, a nawet darować, że przyjmuje hołdy sympatycznego dla niej mężczyzny, ale ciągnąć za sobą cały korowód mężczyzn, z tym flirtować, tamtemu rzucić słówko obietnicy, na tego patrzeć, innemu schlebiać, trzeciemu rękę ścisnąć, czwartemu schadzke wyznaczać, tego zawieść. Przecież i inne panie chcą się bawić, rozmawiać, podobać, zaś panny mogą znaleźć stosowną partię. Tak, to niegodne uczciwej kobiety!

A wszystko było tak dobrze, spokojnie, harmonijnie, aż do jej przyjazdu. Jedliński był na najlepszej drodze oświadczenia się Mądzi; na Borowieckiego liczyły dwie mamy; Maniecki skłaniał się do pani Anny, milej wdowy; Szarocki był na usługach dwóch pań, Orlickim każda mogła się wyręczyć, a teraz, ona wodzi ich wszystkich za sobą.

Lecz wszystkie te panie i panny były dobrze wychowane i nie okazywały jej wgardy, na jaką zasługiwała w ich mniemaniu. Witano ją uprzejmie, rozmawiano grzecznie, nie unikano ostentacyjnie, zachowywano pozornie formy i przepisy towarzyskie, a swoją drogą bardzo pilnie śledzono i podpatrywano złośliwie, które na szczęście nie miały władzy zabójczej, gdyż pani Wanda żyła i chodziła, a nawet stan jej zdrowia zaczął się poprawiać, czego nieomylną oznaką była większa staranność w strojeniu się.

Pani Wanda była przekonana, że przeprowadzenie się na pierwsze piętro wpłynęło korzystnie na jej

zdrowie, pozbyła się bowiem męczących schodów i obawy spojrzenia w dół z trzeciego piętra.

Był to jeden powód wdzięczności dla pana Borowieckiego, a wkrótce znalazł się i drugi.

Pan Borowiecki otoczył ją staranną a bardzo delikatną opieką. Gdy siedziała przy stole, zdawało się, że jej myśli odgaduje, wszystko, czego żądała, umiał podać i podsunąć, i cała służba zakładu od pewnego czasu usługiwała jej na wyścigi, zdawało się, że tylko czeka jej skinienia.

Pierwsze zauważyły to panie i nie przez niską zazdrość, lecz powodowane troskliwością o przyszłość pani Wandy uważały za stosowne wytknąć tę niewłaściwość.

— Panie Borowiecki, — upomniała go dość surowo pani Łacka w czasie jednego z obiadów, — pan swem postępowaniem opóźnia, a może i uniemożliwia wyzdrowienie kuzynki.

— Ja? — zdziwił się szczerze, a pani Wanda zarumieniła się lekko z obawy, że wejdzie na stół sprawa przenosin, książek lub kwiatów, którymi on obficie przyozdobił pokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).